

Sergiusz Kowalski

Język ideologiczny

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4, 39-45

1990

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ubeczek to *ubek* całkiem maluśki — żalosne stworzonko, którego nikt się nie boi. *Ubeczek* już nie śmiesz: budzi politowanie.

Bibliografia:

- G. Lakoff, M. Turner, 1987, *More than Cool Reason*, Chicago, University Press.
- A. Wierzbicka, 1980, *Lingua Mentalis*, Sydney, Academic Press.
- A. Wierzbicka, 1984, *Cups and Mugs: Lexicography and Conceptual Analysis*, „Australian Journal of Linguistics”, 4, s. 205—255.
- A. Wierzbicka, 1984, 'Apples' Are Not a 'Kind of Fruit': the Semantics of Human Categorization, „American Ethnologist”, 11, s. 313—328.
- A. Wierzbicka, 1985, *Oats and Wheat: The Fallacy of Arbitrariness*, w: J. Haiman, *Iconicity in Syntax*, Amsterdam, Benjamins, s. 311—342.
- A. Wierzbicka, 1986, *The Meaning of a Case: A Study of the Polish Dative*, w: R. D. Brecht, J. S. Levine, *Case in Slavic*, Columbus, Slavica, s. 386—426.

Sergiusz Kowalski: Język ideologiczny

Nie wiem, czy będzie to polemika z Anną Wierzbicką, czy tylko parę uwag w sposób komplementarny traktujących o zjawiskach przez nią pominiętych. Ale, zdaje mi się, raczej to pierwsze. Powiem dlaczego.

O języku antytotitalarnym pisze Wierzbicka ciepło, z wyraźną sympatią; widzi w nim, w samym akcie słowotwórstwa, mechanizm samoobrony przed totalitarnym zniewolnieniem, formę wolnej autoekspresji społeczeństwa, któremu, mówiąc obrazowo, chcą zatkać twarz, które jednak czuje, że musi wypowiedzieć swoją prawdę — że nie ma innego ratunku przed strasznym światem Aldousa Huxleya, Orwella i Zamiatina, budzącą grozę otchłanią szaleństwa. Społeczeństwo poddane presji totalitaryzmu buduje więc — powiada Wierzbicka — własny, inny od oficjalnego język, w którym w subtelny sposób rzeczy nazywane są po imieniu; niuanse tej słowotwórczej działalności, odpowiednio zbadane ujawniają całość „tych emocji, postaw i myśli,

które w kraju zdominowanym przez dotkliwą kontrolę polityczną nie mogą być wyrażone wprost”. Tak powstaje zjawisko dyglosji, będące językowym korelatem dualności samego świata podzielonego na Dobro i Zło, światło i ciemność, na n a s i na n i c h.

Wolę przyglądać się rozmaitym wadom tego, co mi bliskie, a więc zjawiskom, które Wierzbicka metodycznie pomija, patrząc na to, na co ona właśnie nie patrzy. Nie chodzi mi tylko o oczywisty skądinąd fakt, że społeczeństwo od dziesiątków lat zmuszone obcować z komunistycznym para-totalitaryzmem¹ padło (w jakimś stopniu) ofiarą infekującego wpływu propagandy i bezwiednie przyswoiło część narzucanych odgórnie wzorów myślenia. Rzecz również w tym, że różne rozpowszechnione (i przez nikogo nie promowane intencjonalnie) style interakcji kształtowały się w ramach systemu, że system ów nie istniał gdzieś poza społeczeństwem, lecz stanowił codzienny kontekst wszystkich działań zbiorowych. Nawet formy oporu w znacznej mierze określone zostały przez kształt tego, przeciw czemu opór ten był zwrócony. A wszystko to miało i ma swoje językowe odpowiedniki, nader interesujące i godne badania. Przytoczę w tym miejscu mój ulubiony cytat ze św. Augustyna:

Lecz ponieważ dusza moja nie śmiała powiedzieć, że się jej nie podoba Bóg mój, nie chciała tego, by to, co się jej nie podobało, uznać za dzieło rąk Twoich. Stąd też doszło do mniemania, że istnieją dwie substancje i nie zaznajając odpoczynku mówiła nedoręczności (*Wyznania*, Ks. siódma, XIV, 20).

Podział na absolutne dobro i absolutne zło — możliwy w abstrakcyjnym królestwie wartości (i kontrwartości, będących rzucanym przez nie cieniem) — nie daje się łatwo przeprowadzić w świecie ludzi żyjących. Oczywiście to uwaga, ale warto wyciągać z niej wnioski. Wierzbicka analizuje odzwierciedlony w języku stosunek do milicji. Zakłada, że jest on negatywny. Zawsze i wszędzie. Cytuje odpowiednie wypowiedzi, sama też używa ostrych słów: stwierdza np. w kontekście rozważań o *smurfach*, że określenie to odnosi się do:

członków zmotoryzowanych² sił policyjnych, oficjalnie nazywanych ZOMO, używanych w czasie stanu wojennego i potem dla sterroryzowania ludności w Polsce

¹ Przedrostek, *para-* jest wielce istotny: Wierzbicka używa go, ale jakby pod przymusem: wołałaby światu, który poprzez język opisuje, dawać jego prawdziwe imię.

² Brzmi to jak hasło z encyklopedii. Ale dlaczego pisze Wierzbicka *zmotoryzowane*? Czy to ważne, że oni *jeżdżą*, a nie *chodzą*? Przymiotnik *zmotoryzowane* jest częścią oficjalnej nazwy, i niczym więcej.

— brutalnych, zwykle pod wpływem narkotyków, wyposażonych w chelmy, tarcze, pałki gumowe i broń gazową.

Otóż, jak wiedzą dzieci, smurfy są niebieskie, tak jak mundury w s z y s t k i c h milicjantów, narkotyków zaś używają rzadko.

Spotykałem funkcjonariuszy milicji (tych z „drogówki”, i tych z SB) mówiących o sobie *my, smurfy*. Fakt ten otwiera pole dla wielorakich interpretacji: 1) reprezentanci wrogiego obozu starają się zdyskredytować język antytotalitarny, używając go osobiście³; 2) milicjanci, cierpiący wskutek powszechnego identyfikowania ich z komunistyczną władzą, usiłują przezwyciężyć psychologiczny dramat odrzucenia, używają — w kwestii dla nich samych kluczowej, dotyczącej grupowego samookreślenia — terminu funkcjonującego w społeczeństwie, do którego pragną pełnoprawnie przynależeć („władzy służą”, bo „jest to władza” lub „jak wszyscy inni”); 3) milicjanci mają poczucie grupowej przynależności, która nie jest w ich rozumieniu tym samym, co przynależność do grona sług systemu: jest identyfikacją czysto zawodową; szukają tedy określenia, które będzie, zarazem, inne od oficjalnego i odda ducha grupowości — w tym rozumieniu określenie *smurfy* jest eufemizmem określenia *policja*: jesteśmy prawdziwi — czym lepsi są od nas jacyś tam szeryfowie w USA, oni też pracują dla władzy — my nie jesteśmy komunistami, robimy to samo co inni w całej Polsce; jesteśmy po prostu policjantami; jeśli nie wolno nam tak się nazywać, nazwijmy się jakkolwiek, byle nie tak, jak nam kazano; 4) milicjanci też mają poczucie humoru.

Według Wierzbickiej chodzi o to, że milicja lub, lepiej, zomowcy, są w ten sposób „językowo zredukowani do rozmiaru śmiesznych małych zabawek”. Skoro sami to czynią, może więc 5) czują się instrumentem systemu, transcendentnej siły, która ich przerasta, czyni bezwolnym narzędziem obcej woli; w odruchu ucieczki szukają schronienia; jako małe *smurfy* kryją się za symboliczną osłoną nazwy — mali, niewidoczni. Mam wrażenie, że wywód Wierzbickiej można badać według tych reguł, które ona sama stosuje do badania społecznie funkcjonujących terminów⁴ i ich spektrów znaczeniowych.

³ Odległa analogia: w drugiej połowie lat siedemdziesiątych komunistyczna propaganda próbowała dyskredytować działaczy demokratycznej opozycji wskazując na komunistyczne koneksje ich samych, bądź ich rodziców.

⁴ przyp. 1,2.

Milicja nazywa się dziś inaczej, nadto masowo przejawia zainteresowania religijne. Rzecz ciekawa: ci, którzy nie lubią aktualnego rządu używają wobec stróżów prawa nazwy odwrotnej do tej obowiązującej. Chłopi, demonstrujący ostatnio przed Ministerstwem Rolnictwa, na rozpędzającą ich policję wołali *milicja*, manifestując zapewne w ten sposób swój pogląd, iż nic się w kraju nie zmieniło. Podobnie, w latach siedemdziesiątych, w kręgach KOR-owskiej opozycji mówiło się chętnie na milicję *policja*, dla podkreślenia jej ideologicznej roli *instrumentum regni* systemu.

Mówiąc o języku rysuje Wierzbicka wizerunek społecznej sytuacji komunikacyjnej. Daje przykłady z różnych okresów historii PRL, jednak paradygmatem pozostaje dla niej stalinizm — czas, kiedy system najpełniej pokazał, czym w istocie jest, zawsze i wszędzie, kiedy jego „esencja” wcieliła się w rzeczywistość. Zdawałoby się, że paradygmat ów pasuje również do czasów „Solidarności” między sierpniem i grudniem, kiedy polaryzacja układu władza — społeczeństwo stała się jeszcze wyraźniejsza wskutek instytucjonalizacji strony społecznej. Jednak bliższe przyjrzenie się typowym zachowaniom członków związku w sytuacjach publicznych ujawnia ich złożony, niejednoznaczny stosunek do osób czy instytucji pozornie dających się łatwo i jednoznacznie zaliczyć do sił *ancien regime'u*. Przykład milicji jest szczególnie wyrazisty. Zanim zajmę się nim bardziej szczegółowo, kilka uwag ogólniejszych.

„Solidarność” powstała jako fragment wydzielony z dawnego układu polityczno-społecznego i zarazem jako zapowiedź całości przyszłego demokratycznego porządku. Na kanwie kompromisowej, pozornie apolitycznej formuły syndykalistycznej stworzono organizm będący w istocie nie tyle związkiem zawodowym, co państwem w państwie, nową, prawdziwą Polską, alternatywną wobec tej istniejącej, zawłaszczanej przez urzędujący komunizm. Związek „Solidarność” starał się ogarnąć całokształt myśli, aspiracji, sentymentów, wartości i działań dotąd zepchniętych na margines życia publicznego; chciał dać miejsce i szansę wszystkim grupom autentycznie społecznym, niezależnym od państwa, jego doktryny i organizacji.

„Solidarność” była dla jej członków tą prawdziwą Rzeczpospolitą; chcieli, by stanowiła ona możliwie pełną realizację idei własnego państwa Polaków. Dążeniem do takiej „kompletności” wytłumaczyć można powszechnie w związku zakładanie tzw. Ośrodków Badań Społecznych, a także osobliwą karierę instytucji „eksperta”. Było to,

jak sądzę, wyrazem chęci wykazania się posiadaniem własnych „uniwersytetów” i własnej elity intelektualnej, której istnienie wzbogaca wspólnotę o jeszcze jedną funkcjonalną część.

Podobną postawę zaobserwować można było wobec milicji. Szanujący się związkowiec na co dzień posługiwał się całym zestawem negatywnych stereotypów tej instytucji będącej symboliczną wręcz kwintesencją reżymu i jego deprawacji. Ale w pewnych, określonych sytuacjach to, co nazwałem dążeniem do pełni, postawę tę zmieniało radykalnie. W uchwale I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” *W sprawie pracowników cywilnych MON i MSW* czytamy:

Zjazd zobowiązuje władze krajowe Związku do użycia wszystkich dostępnych Związkowi środków obrony naszych członków dla zabezpieczenia prawa swobodnego, zgodnego z konwencjami międzynarodowymi, działania NSZZ „Solidarność” w obu resortach i w organach administracji.

Na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność” byli obecni i wygłosili przemówienia przedstawiciele bezskutecznie zabiegającego o legalizację niezależnego „Związku Zawodowego Funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej”. Delegaci przyjęli niemal jednogłośnie uchwałę udzielającą stanowczego poparcia ich staraniom. Nie jest to odosobniony przykład postawy tego rodzaju; przeciwnie, raczej typowy⁵. Zastanawia tak zdecydowana chęć bronięcia ludzi związanych ze skądinąd raczej nie szanowanym resortem.

Oto możliwe wyjaśnienie. Rola milicjanta jest potencjalnie społeczna. Jest godna potępienia jako *instrumentum regni* systemu, ale może zostać wyzwolona; w przyszłym, prawdziwym państwie dzisiejszy milicjant przeobrazi się w stróża prawa, prawu podległego (w państwie tym nie będzie natomiast policji politycznej: funkcjonariusze

⁵ Milicjantów z Otwocka uratowały w zasadzie elementy antysocjalistyczne. Oficer MO podszedł do Michnika i zapytał, czy poda mu rękę. Po czym wyprężył się, wałną obcasami i powiedział mniej więcej tak: „wiem, że może mnie to drogo kosztować, ale dziękuję Panu” („Solidarność Ziemi Łódzkiej” 19/32:4); 17 VI w Zambrowie funkcjonariusze MO, nie mogąc opanować tłumy żądającego sprzedaży chleba prosto z piekarni, zwrócili się do zarządu oddziału „Solidarność” o pomoc, dzięki której udało się uspokoić ludzi i zorganizować sprzedaż pieczywa w lokalu nieczynnego sklepu. Z kolei 22 VI przedstawiciele MO poparli działaczy „Solidarność” domagających się, na zebraniu Komitetu Kontroli Społecznej w Zambrowie, wprowadzenia kontroli sklepów wykluczającej możliwość uprzedzenia zainteresowanych przed podjęciem akcji („Biuletyn AS” 21:205).

Służby Bezpieczeństwa będą nieodwołalnie potępieni, do raju nie wejdą).

Wspomniani niezależni milicjanci przyszyły stan wolności odważnie antycypują.

Myśl o jedności społeczeństwa, tak wówczas popularna, sugerowała konieczność przeprowadzenia podziału wśród milicjantów:

Brutalna, bandycka akcja specjalnej grupy MO i SB w Bydgoszczy wstrząsnęła całym społeczeństwem. Jesteśmy przekonani, że wśród funkcjonariuszy MO są ludzie uczciwi, gotowi potępić tego typu niegodne człowieka akty bestialstwa. APELUJEMY — NIE BĄDŹCIE NARZĘDZIEM BEZPRAWIA I TERRORU. Stanowimy jeden naród i nikt nie będzie nas dzielił.⁶

W powszechnym odczuciu milicja jest silnie kojarzona z ustrojem, państwem i jego aparatem (kolokwialne *panie władzo*), dla wielu najdobitniej uosabia zło i deprawację systemu. Ale właśnie dlatego u c z c i w y m i l i c j a n t może stać się równie dobitnym symbolem przyszłego, żyjącego u siebie społeczeństwa obywatelskiego, wizytówką demokratycznego i praworządnego państwa, gdzie stróż porządku nie budzi lęku przyzwoitego obywatela, bowiem jest jednym z n a s, czymś swojskim, moralnie neutralnym elementem krajobrazu, jak londyński *hobby* zdobiący turystyczne foldery.

Zważmy: nie wszystkie przedsięwzięcia zmierzające wówczas do zmiany od wewnątrz dawnego porządku kryły w sobie taki symboliczny potencjał. Przykładowo, socjaldemokratyzujący ruch „struktur poziomych” w PZPR traktowany był często jako rzecz obca — obojętnie lub z nieufnością. Jeżeli Niezależny Funkcjonariusz realizował archetyp Mateusza, nawróconego celnika, partyjny reformator mógł być tylko Judaszem lub Azefem.

Entuzjazm wywołany pojawieniem się pierwszych wkraczających na uczciwą drogę milicjantów jest funkcją szczególnej łatwości, z jaką wizerunek Niezależnego Funkcjonariusza zdolny jest wchłonąć i reprezentować treść mitu solidarnej jedności. Zewnętrzne znaczenie sytuacji jest rzeczywiste i prawdziwe: delegaci Zjazdu, powstawszy, oklaskują stojącego na trybunie milicjanta. Nad tym jednak nadbudowany jest wtórny system znaczeń niosący treść mitu jedności. Przedmiot aplauzu jest tyleż prawdziwy, co dowolny i niekonieczny; tym, co konieczne, co jest prawdziwym źródłem emocji, okazuje się

⁶ „Biuletyn Informacyjny Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych „Solidarność” w Hucie im. Bieruta w Częstochowie” nr 8, s. 5.

większość społeczeństwa, idealne my i przeciwstawiona starym porządkowi nowa wspólnota wszystkiego, co niezależne i samorządne. Morał: raz jest tak, a raz inaczej; zachowania, również werbalne, a stąd i znaczenia wyrazów i całych konstrukcji językowych, mają charakter sytuacyjny. I morał drugi: świat jest skomplikowany; dobro i zło są w nim przemieszane, i przez to trudno nieraz uchwytne. Mówiąc coś lub czyniąc, warto rozważyć, czy czasem nie skorzysta na tym Księżę Ciemności. Ale kierując się tą głównie dyrektywą łatwo przeoczyć wiele ciekawych spraw.

Jerzy Bralczyk: Antytotalitarny metajęzyk

Tytuł tekstu Anny Wierzbickiej zapowiada niemal tak dużo, jak nazwisko jego Autorki: będziemy czytali o jakimś JĘZYKU, o jakichś MECHANIZMACH. Przyznam, że lektura nie zaspokoila mojego apetytu. Sądzę, że nie było w Polsce języka antytotalitarnego, a „mechanizmy samoobrony językowej” kojarzą mi się chyba z czymś nieco innym niż Wierzbickiej.

Reakcje na język totalitarny bywały różne: przejmowanie go nawet przez jego ofiary i przeciwników (używanie LTI przez Żydów pokazuje Klemperer); tworzenie poczwarnych i zabawnych, lecz funkcjonalnych melanży (patrz Babel, Zoszczenko, Jerofiejew, przede wszystkim chyba Zinowiew); rzeczywiste odrzucenie, kiedy to język w niektórych swoich odmianach (najczęściej kolokwialnej, czasem naukowej, czasem innej jeszcze), broni się przed totalitaryzmem nic z niego nie przejmując.

Ta właśnie trzecia sytuacja wystąpiła u nas. Za język obronny uznałbym niewymuszony, choć miejscami wulgarny do plugawości, język ulicy, w którym (inaczej chyba niż w rosyjskiej *prostoriecz*) mało było śladów oficjalnego języka propagandy komunistycznej. Takim językiem byłby język pewnego typu eseistyki humanistycznej, któremu często (i czasem słusznie) zarzucano „ibłowską” bełkotliwość i mętniaćwo, ale nie można było przypisać mu uległości wobec publicznej sztampy. Taki był język Kościoła, a przynajmniej znacznej części tekstów tam powstających.

Ale to była, nie zawsze zresztą programowo uświadamiana, obrona przez odrzucenie. Wykład Anny Wierzbickiej traktuje o czymś innym: o hipotetycznym antytotalitarnym systemie językowym. Nie